TOŻSAMOŚĆ · RECENZJA

PIOSENKA JAK MODLITWA. O NOWEJ KSIĄŻCE MICHAŁA GOŁĘBIOWSKIEGO

Malwina Gogulska · 24 lutego 2026

Liryzm i gwałtowność nieustającej wędrówki. Pierwsza recenzja książki Zagraj ostatnią piosenkę i odjedź.

Rosnąć sobie jak oliwka
Jak oliwka zasadzona w domu Pańskim.
M. Gołębiowski

Wyobraźmy sobie, że mamy chwilę błogiego spokoju, kiedy możemy ukłuć czarną jak krucze oko płytę winylową ostrą igłą gramofonu, spojrzeć w powleczony pajęczynami, nieściągniętymi podczas sprzątania, biały sufit, przypomnieć sobie za co to życie tak cenimy, albo dlaczego go wcale nie cenimy. To jest właśnie chwila, gdy powracamy do źródła i, prędzej czy później, trafimy tam, gdzie powinniśmy. Nie musi to być od razu sprecyzowany cel, może to być po prostu ścieżka zarośnięta ostem. Ważne, by świeciły nad nią gwiazdy albo niebo pękało od grzmotów.

Książka Michała Gołębiowskiego właśnie taka jest. Sięgam po nią za każdym razem, gdy szukam przestrzeni do medytacji modlitewnej albo kiedy chcę posłuchać muzyki z gramofonu, którego nie mam. To niezwykłe, że literatura może wypełnić jakiś pusty obszar w skurczonej duszy i pustą półkę, na której powinny stać błyszczące jak obsydianowe słońca płyty winylowe.

W prozie Michała to właśnie uwielbiam – medytacje przenoszące doczesność poza zasłonę, muzyczne peregrynacje, leniwą ciszę lipcowego popołudnia i gitarowy fuzz. Zadziwia mnie wciąż to odkrywanie w drobiazgach codzienności symboli syntezy człowieka duchowego i człowieka cielesnego, ale też pewności, że pada na nie konsekwentny promień wiekuistych przypowieści. I to proste stwierdzenie, że na jesiennym wygonie jest brama... Bo przecież na łące pasą się owce i na niebie też się pasą owce, a psi stróż przychodzi i odchodzi.

Tylko pies w niebo zapatrzony z budy
na pewno słyszy inny świat i szczeka
choć przez to ciało jako wiatyk chudy
prócz paru kostek nie widać człowieka
Psalm polny, Tadeusz Nowak

Życie czeka na kolejną parabolę.

Na horyzoncie widnieje kolejna książka Michała, zbiór opowiadań pt. *Zagraj ostatnią piosenkę i odjedź*, którą miałam przyjemność przedpremierowo przeczytać i znów jestem pod wrażeniem fascynującego, lynchowskiego wręcz „odwijania" i „zawijania" tajemnic na styku dwóch rzeczywistości.

Czytelnicy i słuchacze Nowego Ładu zdążyli już poznać Michała Gołębiowskiego nie tylko dzięki jego artykułom, ale też dzięki Piotrowi Góralowi, który rok temu napisał ciekawą recenzję książki *Dalej tylko pola*. Słowem koniecznego wstępu warto przypomnieć, że Michał – doktor nauk humanistycznych, tłumacz i teoretyk literatury, para się prozą już od 2018 roku, kiedy to wydał swoją pierwszą książkę eseistyczną *Niewiasta z Perłą. Szkice o Maryi Pannie w świetle duchowości katolickiej.* Jak zapewne wszyscy się domyślają, pisarz nie kryje swojego głębokiego przywiązania do teologii katolickiej, zogniskowanej głównie na pismach Ojców Kościoła i mądrościach Ojców Pustyni, ale również na duchowości maryjnej (dowodem na to jest ostatnia książka *Maryja jako królowa i kadzidło*).

> Powiedzieć, że proza ta jest do bólu egzystencjalna a jednocześnie mistyczna, to jak nic nie powiedzieć. Ewagriusz z Pontu spotyka się tu bowiem z Towshendem, św. Antoni Egipski z Dino Valente, a werset biblijny o oliwce w domu Pańskim rozważany jest przy dźwiękach gitary Johna Cipolliny. Sprzeczności? Okazuje się, że podobne sprzężenie, dokonujące się w całkiem zwyczajnych, życiowych okolicznościach, albo przeciwnie, w okolicznościach duchowych, gdzieś pod złotym blaskiem ołtarza, jest całkiem namacalne, a dwie rzeczywistości uzupełniają się nawzajem, przynajmniej w ludzkich oczach, bo przecież przestrzeń boska jest samowystarczalna.

A później, że przecież, jak napisano, On „daje słońce i deszcz złym i dobrym", sprawiedliwym i niesprawiedliwym, bez wyjątku. Na jednych i drugich spuszcza jedno i drugie. Sprawiedliwi mają swoje pogody i swoje deszcze na równi z tymi niesprawiedliwymi, tak musi być.
M. Gołębiowski, *Zagraj ostatnią piosenkę i odjedź*

Proza drogi czy proza wędrówki, w której raz po raz przejawia się Ewangelia, nie jest wielką przygodą, jest raczej spokojną podróżą duchową, swoistym Genesis z Ducha. Zabiera nas w zupełnie inne rejony przeżywania dialogów, rozmyślań i obserwacji niż tradycyjna literatura beletrystyczna, której najważniejszym elementem jest wkroczenie wraz z bohaterami w jakąś namacalną „awanturę", historię czy ciąg fantastycznych zdarzeń. To czysta kontemplacja.

Kluczowy jest tutaj jeden moment, który z chaosu przyziemności, wywabia nas na tą zanurzoną w letnim mroku autostradę anamnesis, przykuwa naszą uwagę do jednego elementu rzeczywistości, przypominającego nam coś, co przecież od dawna grzechotało na dnie duszy. Teraz stało się całkiem bliskie – tak jak w opowiadaniu o książce francuskiego poety – czas otwiera i zamyka przed nami okna, nie zawsze będziemy przygotowani na „przyjęcie" jakiejś prawdy, na przykład w zimnej klasztornej celi okno na treść będzie zamknięte, ale może kiedy po latach sięgniemy do kieszeni kurtki, znajdując spłowiałe strony niezrozumianej wcześniej książki, okno otworzy się z hukiem, tak jak otworzą się nasze oczy, włosy owieje zapach kadzidła zmieszanego z wonią wieczornych mgieł i będzie można to zjawisko nazwać biblijną eureką.

Jeśli chcesz użyć przeciwko niemu (demonowi) jego własnego miecza, ale chcesz najpierw pokonać go swoją procą, to wyrzuć i ty kamień ze swojej pasterskiej torby i poddaj go refleksji.
Ewagriusz z Pontu

Ojciec Abatos zbiera kamienie, które do niczego się nie przydadzą, ale te kamienie okazują się być najlepszą odpowiedzią dla człowieka obleczonego w ciało. Zamknięta skorupa, po której chodzą jaszczurki, gładka i niedostępna, rzucana za siebie jak przekleństwo – pisarz w przepiękny sposób umieścił tu ten symbol – pozornie niepotrzebnego trudu, który pozwoli dostrzec, kim jest człowiek i jakie dary może wykorzystać, by być nim jeszcze bardziej.

Ożywcza Ciemność

Czytając kolejne rozdziały zbioru opowiadań Michała Gołębiowskiego, od razu rzuca się w oczy stos ważnych dla niego (dla człowieka w ogóle) motywów – jednym z nich, zaraz obok anamnesis i biblijnej eureki, jest brodzenie w pustce i ewangeliczne odnajdywanie spokoju ducha w całkowitych ciemnościach, na odludziu, w której nawet dźwięk gitary brzmi jak kojąca cisza.

Jeśli powiem: «Niech mię przynajmniej ciemności okryją i noc mnie otoczy jak światło»: sama ciemność nie będzie ciemna dla Ciebie, a noc jak dzień zajaśnieje:<mrok jest dla Ciebie jak światło.
Psalm 139

W mroku i odosobnieniu człowiek może znaleźć drogę nie tylko do „siebie" jako człowieka z wszystkimi jego właściwościami duchowo-cielesnymi, ale także jako do istoty powołanej ku życiu w rzeczywistości transcendentnej, jak mówi Ewangelia – do życia w Bogu. Opowieść o sensie cierpienia i brodzenia w mroku pustki można porównać do zjawiska zwanego negatywnym powidokiem – kiedy patrzymy nawet przez krótką chwilę na oślepiające światło, tracimy wzrok, widzimy tylko ciemną lub „fałszywą" plamę w kształcie źródła światła. Wiemy więc, jaki kształt ma to źródło, ale nie jesteśmy w stanie z nim obcować – tak uczył również w swoich pismach św. Jan od Krzyża.

Dusza również, im bardziej zbliża się do Boga, tym gęstsze mroki i głębsze odczuwa ciemności, a to z powodu swej słabości. Im bardziej bowiem ktoś zbliżyłby się do słońca, tym większe mroki i cierpienie sprawiłby jego blask na skutek słabości i nieudolności wzroku ludzkiego. Światło duchowe Boga jest tak niezmierne i tak przewyższa wszelkie pojęcie naturalne, że gdy dusza zbliży się do niego, zostaje oślepiona i pogrążona w ciemnościach.
Żywy Płomień miłości, Jan od Krzyża

Przez takie mroki podróżuje bohater *Zagraj ostatnią piosenkę...*, czy to mknąc nocną autostradą, pogrążony w „ambientowych" odgłosach przejeżdżających raz po raz samochodów i pomrukiwań zbliżającej się burzy, czy to przygotowując się na nocny spoczynek w samotnej chacie, gdzieś pośród pachnących ziołami, pól Orawy, kiedy szum liści oznajmia rychłą ulewę.
Autor jest niezwykle wrażliwy na wszelkie „znaki" uświadamiające istnienie rzeczywistości za zasłoną, dzięki temu zwraca uwagę na pozornie nieważne szczegóły „świata przedstawionego", takie jak rozgniecione czereśnie przypominające krew, czy wyschnięta na kamień woda w kropielnicy. Dzięki temu, oprócz spraw duchowych, mamy do czynienia również z systematem zmysłowym, co przydaje tym opowieściom plastyczności i pozwala odebrać wrażenie, że patrzymy na dzieło malarskie, które zabiera nas w jakieś duchowe, wysoce kontemplacyjne rejony, mimo że eksponuje jakiś drobny refleks czy przebłysk, nikłe

wspomnienie.

Obcowanie z dziełem wizualnym daje też przecież większą przestrzeń do namysłu, więcej oddechu i wolności, niż napakowana po brzegi ideologią autora treść, a w prozie Michała nie występuje zjawisko „przegadania" czy przeintelektualizowania, które często zdarza się we współczesnej literaturze. Wszystko współgra tutaj ze sobą jak dobrze przemyślana kompozycja progresywna, w której trzeba każdy instrument odpowiednio wykorzystać, tak, by chaos mógł się odnaleźć w porządku.

Przypomina mi się również wiersz Antoniego Langego, którego czytałam nocną porą, w jakimś wzburzeniu emocjonalnym, po bardzo ciężkim dniu zwiastującym niechybną chorobę z przeciążenia:

I znów noc – i znów mroki – i znów dusza woła:
Gdzie twoje złote światło – gdzie twa jasna tęcza?
Gdzie serce, objawieniem zmienione w anioła?...
I znów ta noc bez granic, co ducha wycieńcza

> Takie błądzenie po nocnych bezdrożach, połoninach, wpatrywanie się w sufit starego domu, ze świadomością całkowitego odosobnienia, które było spowodowane zmęczeniem światem, drugim człowiekiem, nieustanną paplaniną i światłami miejskich ulic, jest osią, na której osadza się ten poetycki, podhalański wóz, kierowany przez autora.

Człowiek w mroku odnajduje światło, bo tylko w mroku widać wyraźnie, skąd dochodzi, gdzie się rozprasza, odbija i na jaki obiekt pada. A że przy okazji, jak pisał Lange, „sam się wygania z krainy słonecznej", to tylko świadczy o jego autentycznej relacji z Przedwiecznym.

Do tej krainy pachnącej krzewem dzikiej róży nieustannie przybija, a później znów się od niej oddala, płynąc po mrocznych wodach, gubiąc się w odmętach jak Jonasz w brzuchu morskiego potwora. Taki jest człowiek, nawet gdy idzie z gitarą po popękanym asfalcie, ze skrętem w kieszeni i narzeka na świat, w którym przyszło mu żyć. Walka odbywa się każdego dnia – istota cielesna z wymierzoną w niebo pięścią jednocześnie błaga o miłość, z pustymi rękami i popękaną jak owoc kantalupy duszą. A w ostateczności, tak jak Ojciec Makary z opowiadania, prosiłaby przecież o większe cierpienie, by zjeść ten niebiański placek z rodzynkami czym rychlej.
Skok w absurd wiary? Nie, w Bożą logikę, którą filozof najpiękniej jak potrafił oprawił w ludzkie desygnaty, co zwie się metafizyką.

Brudne riffy modlitewne

Chciałam swoim zwyczajem porównać Michała Gołębiowskiego do jakiegoś innego autora, zrobić jakieś krytyczno-literackie zestawienie, które jak wiadomo nigdy nie jest wypada poważnie, o ile nie objawi się w litanii nazwisk, odniesień i skojarzeń intertekstualnych, świadczących o „oczytaniu" badającego.

> Jednak po kolejnym doświadczeniu z jego twórczością stwierdziłam, że ma na tyle wypracowany własny, niepowtarzalny, całkowicie nieodtwórczy warsztat, iż niestosownością byłoby tworzenie

> takiego pseudonaukowego potworka – Michał Gołębiowski pisze jak Michał Gołębiowski, posiadając oczywiście, jak na porządnego twórcę przystało, całkiem jasne inspiracje.

Na pisarza wpływ ma między innymi Shepard, pod kątem formy opowiadań, które mają wartość przypowieściową, obecny jest też buntowniczy duch Johna Fantego i jego bohater, który nie pasuje do żadnej z otaczających go rzeczywistości, ale też, co tu dużo mówić, czuć admirację dla poetów rockowych i romantycznych. Niezwykle finezyjna mieszanka, której moim zdaniem nie potrafi wytworzyć nikt na współczesnej scenie literackiej, i o dziwo – nie daje to powodu do nazywania prozy Michała – postmodernistyczną. Jego proza pozbawiona jest przesadnego naturalizmu, turpizmu, erotyki i wulgarności, które cechują współczesną literaturę czy sztukę w ogóle. Mimo tej kontemplacyjnej subtelności, czytając książkę Michała, doskonale wiemy, że nie jest oderwany od tego, co ludzkie.

Jednocześnie autor nie próbuje przypodobać się żadnemu środowisku, nie chce spełniać oczekiwań, opisuje to, co jest kształtem i treścią jego życia. Przypominają się w tym miejscu słowa Davida Lyncha: „Wierzę, że jeśli twórca jest do końca wierny pomysłowi i czuje, że zawarł w dziele, to, co chciał przekazać, wtedy na pewno spodoba się ono publiczności".

Z powyższego względu prozę Michała Gołębiowskiego cechuje również muzyczność i próba odnalezienia w kontrkulturowym zakątku psychodeli, progresu czy art rocka lat 70. – odblasków nieba, dlatego bohater opowiadań słucha It's a Beautiful Day i piosenki *White Bird*, albo *You rescue me* grupy Wishbone Ash. Teksty piosenek do bólu egzystencjalne – ukazujące pęknięcia, skrzywienia, jakieś braki, pragnienia w świecie przepełnionym kłębami śmieci i neonami, a nad tym gitarowym fuzzem unoszą się lekkie baldachimy dmuchawców i pierze podniebnych ptaków – jesteśmy zakotwiczeni z naszymi kruchościami w tym miejscu stworzonym do wędrówki, w tym Bożym porządku istnienia, jak wysłużone naczynia na oliwę. Jak pisał słynny filozof egzystencjalista, „człowiek jest syntezą", syntezą dwóch światów – materialnego i duchowego, skończonego i wiecznego, a więc jest skazany również na nieustanny niepokój, o czym Michał Gołębiowski pisze w swojej książce. Nawet w buncie objawia się to, co definiuje „syntezę" ludzką – nieustanne poszukiwanie stanu doskonałego i rozczarowanie wszystkim, co zostało już osiągnięte.

Pojawia się też na tych górskich, wietrznych przestrzeniach znany mi z prozy Tadeusza Nowaka element pierwotnej gwałtowności, która wygasza się dopiero gdy spojrzy się na ludową figurkę Maryi, upchaną gdzieś w kącie karczmy, albo dźwiękowi sygnaturki z pobliskiego kościoła, pachnącego żywicznymi sokami. Życie i śmierć, walka i pokój, gwałtowność i delikatność, wzburzenie i spoczynek, liryzm i przyziemność – czyż tego wszystkiego nie mamy na krążkach Rush, Quicksilver Messenger Service, The Who czy Wishbone Ash? Wchłonięcie zbyt dużej ilości nonsensu systemów, jakie sobie tu na ziemi skonstruowaliśmy, kończy się rozbiciem Fendera Rickenbackera o kolumny Hiwatt i nie jest to nic zaskakującego, bo przedtem brat Archetajos rozbija wiklinowy kosz o ściany pustelni.

Życie bohatera tych opowiadań splata się, nawet w pozornie nieważnych szczegółach, z mniszą egzystencją, gdzieś na dalekiej pustyni, między grobowcami czasu. Motocyklista podnosi z ziemi kamień i anachoreta go podnosi – różnica jest taka, że jeden z nich już wie, drugi jeszcze błądzi.

> Jest to książka, którą można „oglądać” jak film Wendersa albo Antonioniego, znajdować na tej mapie niespiesznych rozważań kontrapunkty, rysować na jej brzegach wyobrażenia nadprzyrodzoności i jej związku z ludzką kondycją, kondycją oślepionego buntownika, noszącego w jednej kieszeni różaniec, a w drugiej papierosy; rebelianta przemierzającego absurdalne ścieżki świata.

Ale przecież wszystkie bujności, nadmiary i kuszące piękno – nic to, bo jak pisał Krasznohorkai: „wejrzałem w to, co nadejdzie, i niczego stąd nie chcę”, dlatego na koralikach różańca osadza się popiół.

Antoni wydobył z fałd habitu garść migdałów i powiedział: – Przegryź tę noc, połknij śmierć i pustkę, a staniesz się gotów do prawdziwego życia.
Michał Gołębiowski

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=cOCdfmat69c

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/piosenka-jak-modlitwa-o-nowej-ksiazce-michala-golebiowskiego/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć